Rozmaitości

Dnia 8. Sierpnia Ner. 32. Roku 1840.

PREZYDENT d'ALBI.

(Podług *Constitutionnella;* zdarzenie z wieku ośmnastego.)

Nadaremnie jesień ujmuje nas pogodném niebem, nie skraca ona długich wieczorów, a tém bardziéj na wsi. Aby ubiedz nudocie, uciekamy się do gry, muzyki lub czytania. Damy siedząc nad swoją robotą, słuchają ciekawie różnych powieści. Zawsze znajdzie się jakiś opowiadacz, który umié w szczególniejszy sposób zająć ich uwagę, zwłaszcza gdy rzecz wiedzie o duchach, ich ulubionym przedmiocie. Wtedyto widzimy je wzruszone i w niemałym przestrachu; a choć się boją, aby im się nie przyśniły, przecież z natężonym słuchem czekają rozwiązania okropnéj katastrofy.

Bawiliśmy w Renezi, dobrach należących niegdyś do hrabiego Wilhelma Dubarry; bawił tam także z nami pan Catelan, dawniéj adwokat jeneralny, późniéj par Francyi, człowiek światły, bardzo przyjemny i pełen dowcipu, który piękną swoją wymową całe towarzystwo ożywiać umiał. Wtém odezwał się ktoś z grona mężczyzn: »Chciéjcie téż panie prosić pana Catelan, niech wam opowié wizyję prezydenta d'Albi.« Na te słowa całe towarzystwo posunęło swoje krzesła i zabrało się do słuchania strasznéj powieści. Na co pan Catelan odrzekł z miną bardzo poważną: »Panie nie wiecie, czego po mnie wymagacie. Wizyja ta nie jest bynajmniéj zmyśleniem, jestto zdarzenie istotne.«

Słyszałem jak je opowiadano memu ojcu i moim stryjom, którzy wcale nie byli ludźmi łatwowiernymi, było ono w swoim czasie bardzo słynne, i narobiło wielkiego rozruchu, tém bardziej, że się wiązało z wielkim wypadkiem, w skutek którego pewien znakomity członek parlamentu Tuluzy, z tym się światem rozstał.

Sądziliśmy, że pan Catelan, jako adwokat jeneralny, chciał nas przemową do słuchania przysposobić, prosiliśmy go przeto, aby nas nie oszczędzał i opowiedział nam całe zdarzenie jak najdokładniéj, choćbyśmy od strachu poumiérać mieli.

Pan Catelan zaczął w te słowa:

»Prezydent d'Albi, jak nadmieniłem, urzędnik wielkiego stopnia, miał majętność o kilka mil odległą od téj wioski, w któréj teraz bawimy. Spędzał on tam podczas zawieszenia sądownictwa, co roku czas niejaki; a że zwracając z publicznego gościńca, wypadało mu jechać uboczną, nierówną drogą, nie chcąc więc stanąć w swojéj zagrodzie w nocy, zajeżdżał zwykle wprzód na pocztę; z tamtąd wysyłał powóz i służącego, a nazajutrz w towarzystwie wiernego swego legawca, jechał konno. Tenże sam zwyczaj zachowywał i powracając do Tuluzy; zawsze już powóz czekał uprzednio na poczcie. Przybycie prezydenta do domu pocztowego, miano tamże za festyn uroczysty: był on od dawna w tym domu opiekunem całéj rodziny, która go jak drugiego ojca poważała.

W roku, w którym się to wydarzyło, co mam teraz opowiedzieć, pan d'Albi przyjechał także wierzchem do wspomnionego domu pocztowego, a znaglony czémprędzéj powracać do Tuluzy, nie myślił dłużéj, jak tylko godzin kilka zabawić. Ale jakże mocno był zmartwiony, zastawszy całą rodzinę w wiel-

kim smutku i pomieszaniu; od dni kilku straciła ojca, zniknął jéj w niepojęty sposób; nadaremne były wszelkie najstaranniejsze poszukiwania. Nie małą więc była radość tych nieszczęśliwych ujrzawszy prezydenta, który mógł ich swoją radą i wziętością wesprzéć; jakoż skoro się dowiedział o tym nieszczęśliwym wypadku, użył natychmiast całéj swéj powagi, wezwał naczelnika obwodowego i rozkazał, aby jak najściślejsze w całéj okolicy przedsięwzięto śledztwo, a przewidując, iż go ta sprawa przez dni kilka zatrzyma, wysłał służącego z listem do żony, aby względem jego spóźnienia spokojną była. Wszystkie te środki zabrały mu nie mało czasu, i utrudziły go cokolwiek; jednakże przed udaniem się na spoczynek, poszedł z swym legawcem do stajni, chcąc się dowiedzieć, azali w tém zamieszaniu o jego koniu nie zapomniano. Z tamtąd wracając do pomieszkania, które było cokolwiek oddalone, spostrzegł, że mu się gdzieś jego Kastor zapodział; wrócił się więc ku stajni, i zaczął go wołać, ale nadaremnie. Po długiém szukaniu spostrzega nareszcie za stajną jakąś lichą szopę; gdy w nią zaglądnął, ujrzał w niéj pełno mierzwy, i swego legawca, który nie chciał się z miejsca ruszyć. Długo trwało, nim go z tamtąd mógł wygnać; pies zawsze skomlał i wracał się w to miejsce; nareszcie prezydent zamknął drzwi od szopy i udał się na spoczynek. Aże jeszcze było za wcześno, wziął więc książkę do ręki, i zamyślił czytaniem jaki czas spędzić, lecz wkrótce sen go zmorzył i zasnął dosyć twardo. Gdy w tym stanie przez kilka godzin spoczywał, za jednym razem przedstawia się mu okropne widziadło: widzi we śnie krwią zbroczonego Franciszka, gospodarza poczty, który już chciał do niego przemówić, lecz w téjże chwili pies zaszczekał, i przebudził go ze snu, a zjawienie zniknęło. Prezydent nie zmiészał się tym snem bynajmniéj, i sądził bardzo słusznie, że zajmowanie się śledztwem i niespokojność, w któréj przez cały dzień zostawał, były przyczyną tego snu okropnego; niezadługo więc zasnął powtórnie; aż oto to samo widziadło staje znowu przed nim, i teraz widzi już dokładnie Franciszka, gospodarza poczty, który do niego w te słowa się odzywa: »Jestem zamordowany przez Kalenela, parobka stajennego, któregom za sprzeniewierzenie się, przeszłego roku ze służby oddalił. Ciało moje znajdziesz za stajnią zagrzébane pod chróstem i miérzwą w szopie, do któréj rzadko kto wchodzi; każ kopać głęboko, a przekonasz się o téj prawdzie. Spraw pogrzéb mojemu ciału, a Bóg ci za to wynagrodzi...«

Pan d'Albi, jak się łatwo domyślić, znowu się ze snu przebudził; zlany zimnym potem, niekontent sam z siebie, wyrzuca sobie lękliwość, która mu sen przerwała. Usiłował zasnąć na nowo, ale dwukrotnie niepokoiło go to zjawienie. Nie mogąc już dłużéj stłumić w sobie niespokojności, zapala świecę, bierze książkę, i tym sposobem aż do białego dnia rozerwać się zamyśla. Daremne usiłowanie, po dziesięć razy odczytuje jeden sens, a żadną razą nie pamięta tego, co czyta. Okropny sen przedstawia się ciągle jego uwadze, na żaden sposób nie może obudzić w sobie innych myśli. Mimowolnie przywołuje w pamięć wszystkie szczegóły; przypomina sobie także, jak legawiec nie chciał wyjść z szopy, którą mu wskazał zamordowany; nakoniec przypomina sobie także, jak gdyby dla usprawiedliwienia swéj podejrzliwości, pewien wypadek w urzędowych aktach *) skréślony.

Nareszcie gdy zaświtało, niemogąc się dłużéj oprzéć swéj niespokojności, ubiéra się, i spieszy ku stajni z legawcem, który przed nim szczekając, prosto do szopy bieży. Pan d'Albi uczuwał jakowąś niepojętą trwogę, chociaż nie mógł przypuszczać sobie tego do głowy, że się może urzeczywiści to, co zdrowy rozum jego za błąd uznawał, i w co człowiek przy zdrowych

*) Dwóch przyjaciół jechało wiérzchem, jeden z nich zatrzymał się w mieście, a drugi puścił się w dalszą drogę. Téj samej nocy, w któréj się rozłączyli, śni się przyjacielowi pozostałemu w mieście, że przyjaciel jego zostaje w największém niebezpieczeństwie, że wzywa jego pomocy. Przyjaciel nie zważa na to i zasypia, ale ten sen dwukrotnie się mu przedstawia. W śnie ostatnim wyrzuca mu, dla czego nie dawał wiary jego doniesieniu, i oznacza mu miejsce, na którém się o wypadku przekonać może. Miejsce to było niedaleko od miasta. Młody człowiek niepokojony sennćm widzeniem, udaje się na oznaczone miejsce i znajduje zabitego przyjaciela.

zmysłach wierzyć nie może; jakim bowiem sposobem przypuścić można wypadki nadnaturalne? A jednak skoro postrzegł, jak się jego legawiec zachowywał w szopie, dziwne zdarzenie to zdawało się prawie być uzasadnionem. Przywołał więc kilku włościan z rydlami, a skoro ci uprzątnęli chrost i mierzwę z szopy, kazał im kopać w tem samem miejscu, w którem legawiec grzebać zaczął. Ale jakiż przestrach nie ogarnął prezydenta i włościan, gdy odkopawszy ziemię na kilka łokci, znaleźli ciało, które już gnić zaczynało! Pan d'Albi wyszedł natychmiast z szopy, i zamknąwszy drzwi, nakazał włościanom jak najgłębsze milczenie, aż pokąd nie schwytają złoczyńcy, który dowiedziawszy się o tem, mógłby umknąć przed zasłużoną karą. Przedsięwzięto natychmiast potrzebne środki, i w poblizkiej włości schwytano mordercę. Uzasadnionemi znaleziono wszelkie szczegóły śmierci, lecz odkrycie przypisano instynktowi legawca, gdyż pan d'Albi nie spominał bynajmniej o swoim śnie nadzwyczajnym, który jednakże mocno jego umysł zajmował. Zaprowadzono zbrodniarza do więzienia, i pochowano nieszczęśliwego Franciszka. Po odbytem pogrzebie prezydent ukoiwszy ile możności hojnem wsparciem żal familii nieboszczyka, zabierał się jechać do Tuluzy, przyrzekając, że powróci, gdy ta sprawa sądzona będzie. Zatrudnienia tak ważnego urzędu, który piastował w parlamencie, wkrótce zegnały chmurę, którą na jego czole podczas jego przybycia postrzeżono, rzadko kiedy myślał o tem nadzwyczajnem zdarzeniu, jednakże tkwiła ona zawsze w jego pamięci.

Gdy się proces rozpoczął, pan d'Albi dla dochodzenia sprawy, udał się na miejsce wypadku; przezco często z swej majętności miasto Albi odwidzać był przymuszony. Kalenela przekonanego o popełnioną zbrodnię, skazano na śmierć, a prezydent zamyślił wrócić do Tuluzy, ale dla większej wygody swoich ludzi i ochrony swojego powozu, odbywał nocleg w domu pocztowym. Nie miał już przy sobie swego legawca, gdyż ten pozostał ze służącym, pan d'Albi zostawał więc sam w swoim pokoju, gdy się znowu oczom jego przedstawia we śnie wizyja. Tą razą już mniejszy strach owładnął duszę jego (człowiek do wszystkiego się przyzwyczai); a choć spodziewać się można, iż prezydent chętnie uwolnił nieboszczyka od wszelkiej wdzięczności, jednakże ten rzekł do niego we śnie: »Tyś wyświadczył mojemu ciału cześć przynależnego pogrzebu*), za twojem wstawieniem się, nieprzyjaciel mój zasłużoną odebrał karę, powiedz, czem ci się za tę przysługę wywiązać mogę?«

Pan d'Albi prosił go we śnie, aby mu dzień jego śmierci oznajmił. Nieboszczyk przyrzekł mu to i zniknął.

Od czasu tego nowego wypadku, o którym dopiero później się dowiedziano, zmienił prezydent swój charakter; stał się ponurym, zgryźliwym i zamyślonym, a nie chciał nigdy ani przed żoną, ani przed przyjaciołmi wyznać przyczyny, która w nim tę odmianę sprawiła. Nie widać było, aby zaniedbywał spraw swoich, i gdyby nie to zamknięcie się w sobie, nad którem mocno ubolewała kochająca go żona, byłby najszczęśliwszym człowiekiem w świecie. Daremne były dla rozweselenia go wszelkie jej zabiegi, pan d'Albi utrzymywał ciągle, że to jest tylko jej przywidzenie, że on bynajmniej się nie zmienił; że każdy człowiek z wiekiem coraz bardziej ponurym i zamyślonym się staje. Nie zmienił on nawet swoich zwyczajów, z tym jedynie wyjątkiem, iż rzadziej jeździł do swojej majętności i nigdy już nie sypiał w domu pocztowym. Jednakże tylko ludzie domowi i jego służący postrzegli tę odmianę.

Dziesięć lub dwanaście lat upłynęło od czasu tego wypadku, a pan d'Albi odzyskał znowu wesołość swego umysłu. Smutne wrażenie to zaczęło już nawet zacierać się w jego pamięci. Jednej nocy utrudziwszy się mocno przez dzień cały, zasnął snem twardym, aż oto jeden z tych snów zawiłych, których niestałe i pierzchliwe obrazy pamięcią naszą powiązać się staramy, rozjaśnił się nagle przed jego duszą i ukazał mu Franciszka. Okryty białą, powłoczystą szatą, zbliżył się do jego łóżka i rzekł głosem grobowym: »Chciałeś wiedzieć godzinę twojej śmierci, otóż patrzaj!« Poczem

*) Wiadomo, jak wielką nasza wiara pokłada wagę, być pochowanym na cmentarzu.

mara wyciągnąwszy kościstą rękę ku zégarowi, i położywszy palec na godzinie dwunastéj, dodała: »W tym samym dniu, za miesiąc!«

Prezydent przestraszony, szarpnął mocno za sznurek od dzwónka, który wisiał nad jego łóżkiem, a domownicy zastali go w wielkiéj gorączce, powtarzającego przerywane bez wziązku słowa, których zrozumiéć nie było można. Posłano czém prędzéj po lékarza, ten zapisawszy mu uśmiérzające lékarstwo, kazał ciepłą kąpiel przyrządzić. Przez dni kilka zostawał prezydent na przemiany to w obłąkaniu, to w zupełnéj osępiałości. Nareszcie pomału uspokoił się nieco, a gdy całkiem odzyskał przytomność swego umysłu, prosił żony, aby go samego zostawiła z zięciem, człowiekiem bardzo rozsądnym, z którym pomówić sobie życzył. Gdy wszyscy wyszli z pokoju, prezydent opowiedział przed nim z najmniejszémi szczegółami całe zdarzenie. Łatwo sobie wyobrazić, iż zięć mniemał przez chwilę, że jego teść jest obłąkany! Z tém wszystkiém opowiedział on cały wypadek z wszelką dokładnością, wyłuszczył wszelkie dotyczące się okoliczności; wszyscy świadkowie istotnego zdarzenia byli jeszcze przy życiu; zresztą pan d'Albi nie był człowiekiem słabego umysłu; przez lat dwanaście od czasu tego nadzwyczajnego wypadku, nadarzyła się mu jako urzędnikowi niejedna sposobność do okazania swéj wrodzonéj zdolności i zdrowego rozsądku; jednakże jakkolwiekbądź, urojenie mogło obłąkać jego wyobraźność; słowem zięć nie wiedział, jakich użyć dowodów na zbicie tak uprzedzonego człowieka.

»Mojém zdaniem jest«, rzekł do niego, »abyś pan prezydent zasięgnął w téj mierze rady u naszego księdza proboszcza; jest on tak twoim jak i twéj familii spowiednikiem, przytém jestto człowiek cnotliwy i oświécony.« Pan d'Albi zgodził się na to zdanie i rozkazał, aby mu go przywołano. Opowiedział przed nim wszystkie zjawienia okoliczności, i żądał, aby mu oświadczył swoje zdanie; proboszcz równie jak zięć tym wypadkiem zmieszany, sądził, że pan d'Albi, chociaż ciało jego jest całkiem zdrowe, ciérpi przecież obłąkanie umysłu: gdyż wyjąwszy gorączkę, zdrowie jego nie było bynajmniéj osłabione. Jeden tylko rozsądek był ciérpiącym. — »Jestto rzecz niezawodna«, rzekł proboszcz, »iż wszechmocne bóstwo objawić nam może swoje wyroki, cuda jego widzim codziennie przed naszémi oczyma, z tém wszystkiém zdarza się to bardzo rzadko, aby umarli dla udzielania się śmiertelnym, z grobu wstawali; ale że wpana ta myśl owładła, więc roztropność nakazuje, abyś roztrząsnął swe sumienie, przyjął przenajświętszy Sakrament i napisał testament. Czyniąc wszystkie te przygotowania, w ten sposób postąpić sobie wypada, aby żadna się o tém nie rozeszła pogłoska, gdyż to mogłoby wzniecić postrach w umysłach, a łatwowierność i nierozsądek, mogłyby rozliczne i niedorzeczne roznieść wieści. — Żona wpana wiedziéć powinna o wszystkich tych okolicznościach, jestto osoba rozsądna i bardzo pobożna, ale przed dziećmi wpana zamilczéć je należy.«

Ksiądz proboszcz, zięć i lékarz ochraniali w téj mierze ile możności panią d'Albi, która również jak i oni, w całéj téj sprawie nie upatrywała jak tylko umysł chorowity, który uleczyć wypadało. Lékarz był tegoż samego zdania, ale jako człowiek obeznany z naturą człowieka, sądził, iż wyobraźność w tak wielkim stopniu wytężona, co do zdrowia i rozumu, pociągnąć może za sobą szkodliwe skutki; nakazał więc, aby go ile możności rozrywać, miéć ciągłą na niego baczność, i starać się, aby nigdy nie był samotny i nie zatapiał się w myślach. Im bardziéj zbliżał się ów czas oznaczony, tém bardziéj prezydent stawał się ponurym i zamyślonym. Atoli, rzecz osobliwsza, stan zdrowia jego bynajmniéj się nie zmieniał, jakoż nie omieszkano zwracać na to jego uwagi. Co większa, żartowano sobie nawet z owego przepowiedzenia. Prezydent był człowiek mocnego charakteru, rozporządziwszy swoim majątkiem, zdawał się spokojnym umysłem oczekiwać wypadku. Nadeszło nakoniec przedjutrze zapowiedzianéj chwili, prezydent zostawał w najpożądańszym stanie zdrowia. Żona i dzieci widząc, iż słabość bynajmniéj się nie wzmaga, już się nawet uspokajać za-

częli. Jednakże, z powodu zabobonnéj bojaźni o jego zdrowie, ponakręcano nietylko zégary w domu, ale postarano się nawet, aby wszystkie zégary miejskie, których dźwięk dochodził aż do pomieszkania pana d'Albi, już o godzinie jedynastéj, północ wybiły. Tegoż samego dnia dawano nawet wielki wieczór, na który powiększéj części familję, przyjaciół, proboszcza i lekarza zaproszono. Pan d'Albi był nadzwyczajnie niespokojny, poziérał ustawicznie na zégar ścienny; familija równie jak i goście żartowali sobie, spijali wino szampańskie, i starali się go rozweselić. Sam nawet proboszcz dobrym swoim humorem dodawał mu odwagi. Nakoniec skazówka na zégarach ściennych stanęła na godzinie dwunastéj. Przez przypadek, o którym podówczas nie myślano, zapomniano przyspieszyć zégar w pokoju prezydenta. Gdy wszystkie zégary miejskie uderzyły dwunastą, goście powstawszy z miejsca, życzyli prezydentowi pomyślności, i za jego zdrowie wychylili toasty. Pan d'Albi podziękował im z największą uprzejmością za tę łaskawość, i wypogodził swój umysł skołatany; wino szampańskie krzepkości mu dodało. Wesołym humorem odbijał żartobliwe do niego wymierzone przymówki, co większa improwizował nawet wierszyk w podziękę za uwagę, którą na siebie zwrócił. To podała sposobność do mówienia o talencie pana d'Albi do poezyi, którą od kilku lat zaniedbał. Pan d'Albi nadmienił gościom o małym poemacie, który napisał, z powodu obłąkania swego umysłu, dodając, iż go dotąd przed nikiém jeszcze nie czytał; miłość własna autora nie chce puścić w niepamięć swego najmniejszego utworu. Goście zaczęli nań nalégać, aby im koniecznie ten poemat przeczytał; prezydent nie dał się długo prosić, i zamyślił pójść po rękopis do swéj sypialni, gdyż tylko on jeden mógł go znaleźć pomiędzy papiérami. Wstaje więc z krzesła, bierze świécę i idzie do swego gabinetu; dla dostania się tam, wypadało iść przez biblijotekę. Przyjaciele i familija już naprzód się cieszą, że im za swym powrotem przyjemną sprawi chwilę. Aż oto nagle słyszą wystrzał z pistoletu! — Pokojowiec pana d'Albi odbiwszy u biura zamek, zaczął kraść jego pieniądze; schwytany przez swego pana na uczynku, bierze za pistolet, który był na doręczu, wypala, i kładzie go trupem. Zégar w jego pokoju — uderzył właśnie dwunastą!

WSPOMNIENIE O FLORENCYI.

Florencyja jest miasto, które jak magnes do siebie pociąga; cudzoziemcy przybywszy do Florencyi, już z niéj więcéj nie wracają, już tam pozostają, już tam żyją i tam umiérają. Urokiem tego miasta są pomniki kunsztu, spokojność ulic, pogodne niebo, malarczéj piękności wybrzeża rzéki, a mianowicie pewna trudna do określenia tęsknota za swobodą, która się tam z powietrza spuszcza i każdego mimo jego woli owłada. Rzekłbyś, iż Florencyja jest owa *Cyrce*, która cudzoziemców niewidomie swémi sidły otacza, i bez ustanku muzyką, pięknémi widoki, wonią i festynami ich udarza, aby o swym rodzinnym kraju zapomnieli.

Na cmentarzu *di Santo Spirito*, pokazywano mi grób szczególniejszy, jeżeli przypuścimy, że grób coś szczególnego w sobie miéć może. Spoczywa w nim pewny, za życia swego bardzo majętny Anglik, William Hodges, który pomimo swoje bogactwa, a może skutkiem tychże, doznał wielkiego zmartwienia od rodziny swojéj, co na jego umysł chorowity niespokojny skutek wywarło. Dla rozweselenia ponurego umysłu swego, obrał podróż. Odmiana miejsca dla chorób umysłowych jest zawsze bardzo zbawienna. W r. 1814, przyjechał Hodges do Florencyi, zamyślił on zwidzić Włochy, Niemcy, Rossyję i Małą Azyję, przez zimę zabawić w Konstantynopolu a lato spędzić w Smyrnie, potém zawinąć do Kadyksu, objechać Hiszpaniję, Francyję i przez Kalet znowu do Anglii powrócić. Plan jego był przewyborny; miał lat dziesięć zabawić w swéj podróży.

Hodges ułożył sobie nie dłużéj, jak tylko trzy miesiące zabawić we Florencyi; jednakże krótki ten czas upłynął mu śród nieustannych rozrywek; festyny, bale, wieczory, przechadzki, nie miały końca. Odnowił kontrakt swego pomieszkania. Po kilku miesięcach wystawiono dóm, w którym mieszkał, na sprzedaż; Hodges kupił go i umeblował podług swojego smaku. Mając dóm w mieście, nie mógł się obejść bez małéj willi. Trzymał dwór liczny, konie, powozy i berlinkę na wycieczki do San Mininto, Empoli, Vallombroso, Val d'Arno i Poggi Bonzi.

Nakoniec ożeniwszy się z córką hrabiny B**, młodą Włoszką, mającą lat siedmnaście, któréj

zubożała familija, przez związki z bogatym Anglikiem, umiała się wydobyć z nieszczęścia, został uleczonym z swojej słabości. Hadges obiecywał swojej młodej małżonce każdej zimy, iż z nią do Anglii podróż odbędzie; każdego roku niepostrzeżenie mijała piękna pora, a Hodges pozostał w domu. W roku 1834 przeżywszy lat dwadzieścia we Florencyi, przeniósł się do wieczności, i nowej ojczyźnie swojej pozostawił liczne anglo-toskańskie potomstwo.

Wypadek tego Anglika, będący tylko szczegółem z pomiędzy wielu innych, przekonywa dostatecznie o nadzwyczajnym wdzięku téj pięknéj krainy. Wszyscy cudzoziemcy doznawają tam w dobranych towarzystwach najgościnniejszego przyjęcia, a szczególniejszym powabem tych towarzystw, jest zażyłość i spółkowanie z osobami najrozmaitszych narodów. Każda przynosi swe doświadczenie, wiadomości, swój jenijusz i dowcip na ożywienie *soirées*, a cudzoziemiec bez przymusu zadowolnić może żądania gościnności toskańskiéj.

Z pomiędzy okazałych pałaców, które dla każdego ukształconego cudzoziemca otworem stoją, pałac Orlandini, mieszkanie księcia Montfort*), pierwsze zajmuje miejsce. Pałac ten wznosi się pośród miasta, niedaleko placu katedralnego. Fasada jego nie jest imponująca, lecz w najszlachetniejszym stylu zbudowana. Nie jest on podobny ani do pałacu *Strozzi* albo *Strozzino*; nie wyzywa on przechodzących do zatrzymania się i podziwiania go, lecz zniewala ich, aby do przyjemnych i smakownie ozdobionych jego gmachów wstąpili.

Po lewéj stronie portyku jest pracownia księcia Montfort, w której książę swoje »Pamiętniki« pisze. Gabinet ten smakownie ozdobiony; trofeami i relikwijami z dawniejszych czasów zapełnione śklanne szafy zajmują jedne stronę pokoju. Obszérne i spaniałe sale pierwszego piętra są na bale, koncerty i *soirées* przeznaczone. Rodzina księcia po obiedzie zgromadza się zwykle do gościnnéj sali i rozmawia tamże z niektórymi przyjaciołmi swojego domu. Na dużym, okrągłym stole leżą najciekawsze dzienniki i kilka imionników różnéj objętości. Jeden z tychże jest może największym i najsłynniejszym w całym świecie. Wszyscy przez Florencyję przejeżdzający malarze, pozostawili w nim swoje nazwiska i rysunki swéj ręki. Horacy Vernet odrysował w nim grenadyjera dawnéj gwardyi, który się na złamanym słupie opiéra. Na tym słupie wypisane są nazwy bitew przez Napoleona stoczonych, krom ostatniéj, któréj miejsce czarna zasłona pokrywa.

*) Hieronim Bonaparte, najmłodszy brat Napoleona.

Śmierć księżnéj Montfort przerwała zwyczajny tryb zabaw tego gościnnego mieszkania, w którém z równym wdziękiem jak i skromną godnością honory gospodyni domu czyniła. Książę po tym bolesnym, nader dotkliwym przypadku, opuścił pałac Orlandyni i w podróż, w odległe kraje się udał. — W r. 1834 dawano w pałacu księcia, bardzo zajmujące koncerty. Trzéj wielcy artyści żyli podówczas w Florencyi: Tacchinardi, poprzednik Rubiniego, jego córka Persiani, i Duprez. Tych troje artystów prócz wielu innych przyjmował książę jak najuprzejmiéj w swoim domu. Córka księcia Poniatowskiego łączyła swój piękny talent z doskonałością nadmienionych artystów. Kawaler Sampierri, piérwszy wirtuoz na fortepijanie w Florencyi, akompanijował jéj przy śpiewie. Używaliśmy w owych wieczorach prawdziwéj słodyczy pięknego kunsztu. Bal zaczynał się o północy i trwał częstokroć aż do dnia białego. Słusznie powiedzieć można, iż cała Europa zaproszona bywała na te festyny; nié masz bowiem tak wielkiego jak też małego kraju, któryby tam w obojéj płci nié miał swego reprezentanta: Włochy, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Polacy tańczyli tam kadryla, a żaden z nich nic odróżniał się swoją narodowością.

DOMOWY SPOSÓB ŻYCIA

LUDWIKA FILIPA.

Król budzi się bardzo rano, a skoro wstanie, natychmiast zajmuje się potocznémi sprawami, czyta dyplomatyczne depesze, tajemne i poufałe raporta posłów, przebiega z pośpiechem wszystko, co się tyczy wewnętrznéj administracyi kraju, i o godzinie jedynastéj jé śniadanie. Wstrzemięźliwość jego w przysłowie weszła. Już od dwudziestu lat śniadanie jego tylko z bułeczki i śklanki piwa się składa.

Po śniadaniu pracuje z ministrami, przyjmuje odwidziny, rozmawia z obecnymi, zadaje im różne pytania, i widać po nim, iż obszérnémi, technicznémi wiadomościami swémi o przemysłowości, handlu, budownictwie i t. d. popisywać się lubi.

O godzinie trzeciéj Ludwik Filip zamyka się, przebiega dzienniki, robi nad niémi uwagi, odczytuje raporta policyi, i przyjmuje przyjaciół poufałych.

O godzinie piątéj idzie na spacer, gdy jest w Neuilly, a jeżeli jest w Tuileryjach, wtedy zwidza nowe budowle, i dla ubrania się, o godzinie szóstéj do domu wraca. Jestto godzina obiadowa. Pokojowiec oznajmia mu, że na stół dano;

wtedy goli się sam, i ubrawszy się idzie do stołu, kiedy już obiad prawie skończono, gdyż na niego czekać nie trzeba. Podobnież i obiad jest bardzo skromny.

Zajmuje on miejsce powiększej części między królową i królewną Klementyną. Stawią przed nim wazę; sam bierze kochlą zupę. Potém przynoszą mu kurczę z ryżem, które bardzo zręcznie rozbierać umié i prawie całe spożywa, poczém wypija niekiedy filiżankę herbaty. Po skończonym obiedzie wstaje od stołu i bierze sobie najczęściej jaki świéży albo suszony owoc. Nieraz widziano go, iż zwidzając roboty rzemieślników i wydając rozkazy, jadł figi lub winogrona.

Następnie, część wieczora z familiją przypędza; przyczém królowa i królewne haftem się trudnią a mad. Adelaida czyta albo z bratem rozmawia. Król sam egzaminuje swoje dzieci, które chodzą do szkoły, rozmawia z niémi o jeografii, matematyce, historyi, rysunkach i t. d. Do familijnego grona przypuszczone bywają także osoby znajome. Niewiele mówią tam o polityce, a jeszcze mniéj o monarchach zagranicznych.

O godzinie dziesiątej udaje się król do swego gabinetu, do którego za nim nikomu wnijść nie wolno. W nadzwyczajnych tylko okolicznościach otwiéra się ten nocny przybytek jakiemu z powierników. W tem miejscu nikt mu nie przerywa spoczynku, tam jest ojcem familii i bogatym dóbr właścicielem, który się wygodnie ogromnémi szczegółami prywatnego swego majątku zajmować może.

Bije dwunasta godzina w nocy, a król sprawy familijne na bok odkłada; polityka wymaga z swojéj strony osobnego zajęcia.

W tym czasie pisze własną ręką do Niemiec, Anglii i Hiszpanii piękne, grzeczne listy, a do posłów i ajentów instrukcyje tajemne. Praca ta trwa do drugiéj, a nawet aż do trzeciéj godziny z-rana. Nieraz piérwszy blask jutrzenki jeszcze przy pracy go zastaje. Wtedy pokojowiec czuwający przede drzwiami wchodzi do pokoju i oznajmia, że już czas na spoczynek się udać. Drugi służący otrzymał już rozkaz obudzenia króla o siódméj godzinie z-rana; nieraz żąda nawet, aby go już o szóstéj obudzono.

Ponieważ Ludwik Filip prawie i trzy godzin w nocy nie spi, dla tego nieraz się zdarza, iż w dzień sobie za to godzinę podrzymie. Usiadłszy do powozu, najczęściéj zaraz zasypia, a towarzyszący mu wiedzą już, iż go na chwil kilka przed przybyciem na oznaczone miejsce zbudzić potrzeba. Po obiedzie, jeżeli nie zwidza rzemieślników pracujących przy budowlach albo w ogrodzie, zwykle kładzie się na sofę i zasypia. Potrafił on w téj mierze do tego stopnia pokonać swą naturę, iż go największy hałas nie przebudzi.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 30. i obejmuje: 1) Czy należy buraki do zupełnéj dojrzałości dopuścić. 2) Olbrzymia pszenica. 3) Opisanie kuchni angielskiéj ze względu oszczędności opału. 4) O rozmaitéj karmie bydła i jéj wartości ze względu pożywienia. 5) Przeciw muchom koni i bydła. 6) Wiadomości czasowe: Niektóre ze stu pytań, zadanych na zgromadzeniu niemieckich gospodarzy w Bernie.

Pan Bońkowski w Poznaniu przełożył *Starożytności słowiańskie* Szafarzyka i drukiem wydać zamyśla.

W biblijotece w Nancy, znaleziono oryginalny rękopis książki do nabożeństwa, napisanéj przez króla Stanisława Leszczyńskiego, księcia Lotaryngii i Baru. Tytuł dzieła tego *Wielki tydzień*, a modlitwy znajdujące się w niém są piękne, styl prawdziwie wzniosły, polszczyzna czysta, wolna od wszelkich makaronizmów. Książka ta ma być dla osobliwości do druku podaną.

Do licznych autorów piszących o kolonizacyi Algieru, należy także Wacław Jabłonowski, który wydał: *Esquisse d'un systeme de civilisation et de colonisation de l'Algerie* i t. d.

Profesor architektury w byłym uniwersytecie wileńskim, Karol Podczaszyński, mieszkając teraz na wsi, napisał w zaciszu domowém: *Słownik wyrazów cieślicych* (może ciesielskich?). Rękopis ten znajduje się w Warszawie, i wkrótce zapewne drukiem ogłoszony będzie.

Poczet okazałego dworu polskiego. O świetności dworów naszych, można powziąć najlepsze wyobrażenie z opisu, który zostawił Stanisław Czernecki, podstoli żytomirski, roku 1691. Wystawił on okazałość dworu Stanisława Lubomirskiego, zmarłego roku 1649, a to w ten sposób: 1) »Dwór pana tego składał się z marszałków dwóch, dwóch kapelanów ojców Bernardynów, czterech pisarzy pokojowych, sług rękodajnych czyli *jurgieltników* sześciudziesiąt. Ci osiadali kołcze (to jest kolasy obszerne juchtami obite,) sześcio-konne, w tyle była drabinka do opiérania się, kobiercami okryta. Za kołczami szły konie tych sług, z białemi grzywami i ogonami czerwono farbowanémi, do każdego konia był pies tarantowaty dla ozdoby. Słudzy ci jechali przed panem, a na miejscu usługiwali mu. Siedzieli na kołczym ubrani w kurtę i magierkę. Na przodzie kołczego czterech czeladzi zasiadało do usług tych *jurgieltników*. Krajczych było czterech. Byli śrébrni kozacy, od śrébra litego tak nazwani, ludzie najemni, szlachta, Węgrowie i Tatarowie; w drodze jechali oni przed karétą, a na miejscu stanąwszy pełnili wskazany sobie obowiązek. Komorników był nader liczny orszak. Była to młodzież, któréj rejestr nie był zawarty: niektórzy z nich mieli znowu własny dwór. Ich powinnością było jeździć do króla i senatorów z listami, a gdy w drodze z panem byli, jeździli przed karétą, ich czeladź jechała za karétą. Bawili też na dworze przyjaciele do rozrywki pana, senatorowie, urzędnicy powiatowi, dygnitarze, a nawet książęta, którym co ćwierć roku dawano po kilka tysięcy, ażeby tym sposobem ulżyć im w wydatkach, jakie z własnych ponosili funduszów, zostając przy dworze. Byli i pokojowi, to jest młódź szlachecka, która się ćwiczyła w rzemiośle wojskowém. Co ćwierć roku odmieniano jéj jedwabne szaty, jednym dawano futra, drugim inne błany.« Również okazały był dwór Jana Firleja. P. W. K., w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym 2), tudzież Janusza Korybuta, księcia Wiśniowieckiego. Ten pan trzema tysiącami ludu dwór swój zdobił, a sto dwadzieścia tysięcy intraty sługom swoim dawał. 3). *(Pis. kr.)*

Drzewo Maryi Stuart. Niedaleko Hohl-Rooda stało drzewo, w którego cieniu Maryja Stuart, podczas swego pobytu w Szkocyi nieraz czytaniem się zajmowała, i które z tego powodu, jako drogą relikwiję i miłą pamiątkę po nieszczęśliwéj królowéj starannie pielęgnowano. Drzewo to na początku miesiąca czerwca burza całkiem złamała.

---

1) W *Pamiętniku Warszawskim* Franciszka Dmochowskiego z roku 1804 z tom. XVI. — 2) Opisał Gołębiowski w *Domach* i *dworach* str. 193 i następn. 3) Giżycki w kazaniu: *Na pogrzebie Janusza Koryb. Wiśniowieckiego.*

Aforyzmy dramaturgiczne przez pana A. G. Polz. (Dokończenie.) 4) Poeta podobny jest do fletu, z którego aktor tony wydobywa, do książki, z któréj publiczności myśl wykłada. Mylném jest zdanie wielu aktorów naszych, którzy w pewnych rolach żadnéj wartości nie pokładają i przezto nieraz całość niweczą i rozstrajają. Żadna, choćby najpośledniejsza rola nie jest tak lichą, aby w niéj pięknéj strony znaleźć nie można, a prócz tego, oddawać dobrze nawet drobnostki i przyczyniać się do uzupełnienia całości, jest powinnością każdego aktora. 5) Skromność jest przyjemnym i wonnym kwiatem, który każdy prawy artysta starownie pielęgnować powinien. Nic bardziéj nie szkodzi wzrastającemu talentowi, jak zarozumiałość, która ceniąc za wysoko swe siły, podaje się szkodliwemu niedbalstwu i zbytecznemu zaufaniu. Skromny artysta powątpiewa zawsze o swoich siłach i już przez to samo porządnie się ukształcić stara; ale za to też od świata szacunek i uwielbienie w nagrodę bierze, gdyż ludzie chełpliwości i wynoszenia się znieść nie mogą. Niejeden znakomity talent rozbił się o skałę zarozumiałości! 6) Żaden stan w świecie nie wymaga tak różnostronnego ukształcenia, tak odznaczających się, wrodzonych darów, jak stan aktorski, a przecież widzimy na deskach teatralnych tak wiele osób, którym zaledwie piérwsze żywioły tegoż ukształcenia są właściwe. Ci to są, którzy postęp sztuki dramatycznéj tamują; bo jakichże pożytków nie przynosiłby dramat, do jakiéj doskonałości nie wzniosłaby się scena każdego narodu, gdyby członkowie jéj i cały naród o istotne ukształcenie sceny dbali, i gdyby ograniczoność i niezdolność od niéj uchylając, za samę igraszkę jéj nie mieli. Chociaż bowiem pojedyńcze, odznaczające się talenta do góry wzlecą, jednakże te nieukształcone osoby, jakby gwichty z ołowiu do ich skrzydeł się przyczépiają i w dół je ku sobie ciągną. Aktor mając do przedstawienia rozmaite charaktery i sytuacyje, ileż ku temu wiadomości nie potrzebuje! Jakże on zdoła charaktery i stan duszy przedstawić, kiedy on biédak sam siebie nie zna i kiedy cała jego wiadomość za obręb powszedności nie sięga! 7) Upadek sztuki dramatycznéj idzie krok w krok z upadkiem poezyi. Najnowszy czas zapełnia repertoryarz teatralny płytkiémi, jałowémi i sromotnémi utworami. Jest to oczewiste kłamstwo, jeżeli przewodnicy sztuki dramatycznéj całą winę na ducha czasu i smak publiczności składają; scena publicznością władać powinna, gdyż nie należy podawać wodzy téj o stu głowach potworze, która przy wielkiéj podzielności zdań swoich ani stanowczego wyroku wydać, ani też wpływu na kunszt wywiérać nie jest w stanie.

Wynalazek zachowania ciał zwiérzęcych od zgnilizny. Doktor Hohlfeld, praktyczny lekarz w Berlinie, wynalazł sposób zachowania zwiérzęcych ciał w nieodmiennéj formie po śmierci. Kto widział mumije i kto nabalsamowane ciała porównywał z ciałami żywych ludzi, ten zaledwo wyobrażenie mieć może o preparatach pana Hohlfelda. Zdaje się, iż lekarz ten śmierć w sen zamienił i rozwiązał zadanie, które dotychczas tak trudném było do rozwiązania. Ponieważ wynalazca zachowania mumij wystawił je obecnie przez niejaki czas na widok publiczny, więc każdy przekonać się mógł naocznie, że to, o czem donosimy, jest szczerą prawdą.

Wywód nazwy modnego kwiatu kamelija. Czesi utrzymują, iż nazwa ta od nich pochodzi i objaśniają tę rzecz w sposob następujący: Piérwszy Europejczyk, który ten kwiat przywiózł z Chin do Europy, był missyjonarz morawski, nazwiskiem Welbaud, po polsku Wielbład, a więc kwiat ten podług Wielbłąda, po niemiecku *Kamel*, kameliją przezwano, po czesku *welblaudki*.

Wiktor Hugo i kupiec winem handlujący przed sądem handlowym. Będzie temu dwa lata, jak Wiktorowi Hugo urząd cłowy oznajmił, iż pod jego napisem sześć baryłek wódki cukrowéj z wysp nadesłano. Poeta przyjął ten podarunek od bezimiennego czciciela z za morza z tém większą pewnością, ileże do podobnych grzeczności jest już prawie przyzwyczajony. Kazał więc zanieść do siebie sześć baryłek i zapłacił 400 franków od wprowadzenia. Przysłaną wódkę wypił poeta z swoimi przyjaciołmi, na których mu nigdy nie zbywa. Niedawnemi czasy przyszedł do pana Hugona pewien kupiec, nazwiskiem Walery Hugo, i upomniał się o zwrócenie sześciu baryłek ratafii, które panu Wiktorowi przez omyłkę oddano. Atoli jakeśmy nadmienili, ratafii już dawno nie stało. Walery Hugo domagał się, aby mu pan Wiktor Hugo, potrąciwszy sobie cło od wprowadzenia, 1100 franków zapłacił. Domyślić się można, że poeta w żaden sposób na to przystać nie chciał. Walery Hugo udał się przeto do urzędu cłowego i zażądał wynagrodzenia. Urząd cłowy oskarżył Wiktora Hugo, że przyjął rzecz, o któréj wprzódy przez przesyłającego awizowanym nie był. W przeszłym miesiącu, wytoczono przed sądem handlowym w téj mierze proces, z którego się obecni słuchacze do rozpuku naśmieli. — Wiktor Hugo: »Ja nie uznaję kompetencyi tego sądu, gdyż nigdy nie prowadziłem handlu takim spirytusem, którymby baryłki albo butelki napełniano.« — Walery Hugo: »Ja w to nie wchodzę, azali pan Wiktor Hugo spirytusem handlował lub nie, ale ponieważ przyjął spirytus, który do niego nie należał, przeto mi go zwrócić lub zapłacić powinien.« — Wiktor Hugo: »Ten pan cokolwiek po grubijańsku sobie poczyna, przecież sam to poznać powinien, jak nieprzyjemną jest dla mnie ta homonimija, która poezyję za kramarstwo bierze.« — Walery Hugo: »Przyznać muszę, iż to równie bardzo nieprzyjemném jest dla mego handlu, który z moim uszczérbkiem za poezyję wzięto.« — Wiktor Hugo: »Mości panie, za słodką ratafiję, którą wypiłem, przymuszasz mnie teraz do wychylenia bardzo gorzkiego kielicha. Znam ja przemądre jego przebiegi, wiem bardzo dobrze jak wpan na prowincyi i za granicą nadużywasz mego nazwiska i od podobnejże głoski poczynającego się imienia. Powiedz szczérze, azali nieraz nie przyjmujesz od dam i od mężczyzn grzeczności, które właściwie memu jenijuszowi przynależą.« — Walery Hugo: »Prawda, iż ludzie nieraz obsypują mnie grzecznościami, ale to z powodu moich win przewybornych, a nie dla wierszy wpana.« — Wiktor Hugo: »Wpan przywłaszczasz sobie rzeczy, które właściwie są mojémi.« — Walery Hugo: »Wpana dla tego przed sąd zapozwano, żeś sobie moję należytość przywłaszczył.« — Wiktor Hugo: »Wpan opierasz się wszędzie na stałéj posadzie mojéj sławy.« — Walery Hugo: »A moja chociaż płynna, przecież nie jest pośledniejszą. — Prezydent: »Zaprzestańcie wpanowie tych uraz osobistych.« — Wiktor Hugo: »Proszę sądu uważyć, iż za mną mówi sprawiedliwość. Sława moja jest europejską. Nie potrzebuję się z tém ukrywać, iż ze wszech stron odbiéram podarunki, jestto grzeczność narodów, których sobie moim jenijuszem ująłem. Jednego razu otrzymałem dwie baryłek prosto z Japanu, nie mógłżem mniemać, że dla mnie sześć baryłek z naszych wysp nadesłano?« — Proces ten jest co do słowa prawdziwy. Wyrok sądu jeszcze nie jest wiadomy.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.